

JAK  
U SIEBIE



Izabella Frączyk

JAK  
U SIĘBIE

Prószyński i S-ka

Izabella Frączyk, 2014

Projekt okładki  
[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)

djęcie na okładce  
Andrey Korotich/Trevillion Images

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Ewa Charitonow

Korekta  
Maciej Korbasiński

Łamanie  
Jolanta Kotas

ISBN 978-83-7961-039-6

Warszawa 2014

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
DRUKARNIA TINTA  
13-200 Działdowo, ul. Żwirki i Wigury  
[www.drukarniatinta.pl](http://www.drukarniatinta.pl)

# Rozdział 1

**N**o, nie rycz już, no proszę cię! Jutro po pogrzebie zrobi ci się lepiej, zobaczysz – pocieszała przyjaciółkę Iga.

Spojrzała na zapłakaną twarz Elizy, westchnęła ciężko i sięgnęła do torebki po kolejną paczkę chusteczek higienicznych.

– Myślisz? – chlipnęła cicho zrozpaczona Eliza. – Wątpię. Ona była mi bardzo bliska... Wyjątkowa. Uwielbiałam ją! Nie wiem, jak pójdę do pracy! Wszystko tam będzie mi ją przypominać...

– Moja droga, jeśli będziesz tak mocno przeżywać śmierć każdego pensjonariusza, wykończysz się szybciej, niż myślisz. Jeśli tak ma to wyglądać, to chyba minęłaś się z powołaniem. Może czas pomyśleć o zmianie zawodu? Jak widać, robota pielęgniarki w domu spokojnej starości to dla ciebie zbyt duże obciążenie. Nie wolno ci tak bardzo zżywać się z pacjentami!

– Przecież wiem. Ale Ludwika...

– Eliza, proszę! Ona miała dziewięćdziesiąt cztery lata! Przeżyła szmat czasu we względnym zdrowiu i zwyczajnie umarła ze starości. Żeby spokojnie odejść we śnie, trzeba mieć tam w górze naprawdę niezłe chody. Każdy by tak chciał.

– Ale przecież wszyscy się na nią wypięli! Nie miała nikogo! Niby gdzieś syna, ale nawet nie chciała o nim wspominać. Była mi jak babcia, której nigdy nie znałam. Ech, straszna szkoda... Już nic nie będzie takie jak dawniej – westchnęła Eliza.

Nie miała w Polsce nikogo bliskiego. Cała jej rodzina wyemigrowała kilkanaście lat wcześniej do Australii, ale ona, mimo gorących nalegań rodziców, postanowiła pozostać w kraju przynajmniej do zakończenia nauki w wymarzonej szkole. Podobno na antypodach wykwalifikowane pielęgniarki opłacano doskonale, niemniej jednak Eliza, tuż po otrzymaniu dyplomu, podjęła pracę w państwowym warszawskim szpitalu. Początkowy entuzjazm i nastrój, podładowane ideałami, prawie natychmiast przyćmiły protesty strajkującego białego personelu. Pensje w służbie zdrowia wołały o pomstę do nieba, a przyjęcie choćby czekoladek od wdzięcznego pacjenta mogło zwiastować spore kłopoty. Po roku od ukończenia szkoły Eliza czuła się zniechęcona i rozgoryczona. Cięcie etatów przez dyrekcję sprawiło, że przemęczone pielęgniarki podcierały się nosem. By jakoś związać koniec z końcem, prześcigały się w braniu prywatnych nocnych dyżurów, co docelowo nie wpływało dobrze ani na stan ich zdrowia, ani na samopoczucie.

Propozycja zatrudnienia w domu spokojnej starości trafiła się Elizie jak przysłowiowej ślepej kurze ziarno. O ile dziewczyna była doskonałą pielęgniarką, świetną w swoim fachu, o tyle coś takiego jak siła przebicia w jej przypadku nie istniało. Albo nie miała jeszcze o tym pojęcia. Przez blisko trzydzieści wiosen Eliza wiodła poukładane życie, mijające bez większych niespodzianek. Dotychczas nie musiała wykazywać się przebojowością, bo właściwie od zawsze wszystko układało się samo. Oczywiście mogła podjąć radykalną decyzję i dołączyć do rodziny w Australii, ale nie miała ochoty na rewolucję. Miło było mieć świadomość, że gdzieś tam, daleko, istnieje zaplecze, ale w sumie tutaj nie było na co narzekać. Eliza zajmowała urocze mieszkanie na Starówce, które zostawili jej rodzice, zarabiała na utrzymanie, choć pewnie w innym kraju z takiej samej pracy żyłaby o wiele wygodniej. Tyle że kochała Polskę, swoje warszawskie życie, no i swoją pracę. Na miejscu miała starszków i zawsze niezawodną Igę. Jako całkiem atrakcyjna naturalna brunetka, Eliza nie narzekała na brak powodzenia u płci przeciwnej, niemniej jednak obracając się w większości w gronie żonatych medyków, całkowicie uodporniła się na ich awanse. Status kochanki jej nie odpowiadał, a kawalerów było w jej środowisku jak na lekarstwo. Owszem, smalił do niej cholewki pewien atrakcyjny i świetnie zapowiadający się młody chirurg, ale gdy po bliższym poznaniu uznała, że większego bufona świat nie widział, szybko zakończyła znajomość.

Jakoś wcześniej nie spotkała na swojej drodze nikogo, kto skradłby jej serce albo choć zatrzymał się w nim na dłużej. Gdy jej koleżanki z osiedla chodziły na pierwsze randki, ona zakuwała anatomię w żeńskiej szkole. One szalały na dyskotekach, ona w ramach praktyk zmieniała pościel na szpitalnych łóżkach. Ale nie narzekała. Realizowała marzenia, od których nikt oraz nic nie było jej w stanie odwieść. Nawet rozstanie z rodziną.

O ile praca w szpitalu nieco podcięła jej skrzydła, o tyle praca w domu seniora na Marcowym Wzgórzu angażowała ją w całości. Eliza już od pierwszego dnia zabrała się do pracy z zapałem, szybko stając się ulubienicą większości leciwych pensjonariuszy. Zwyczaj były to osoby dość majątne, które nie chciały swą starością sprawiać kłopotu rodzinom, albo na tyle dbałe o samopoczucie, by zamieszkać w miejscu, które zapewniało im towarzystwo rówieśników, fachową opiekę medyczną i szeroki wachlarz rozrywek adekwatnych do wieku. Żyli komfortowo i wygodnie, wśród udogodnień zależnych od grubości portfela. Do tego w ośrodku znajdował się pełnowymiarowy basen, luksusowe centrum rehabilitacji, a także pełne zaplecze sportowe. Wykwalifikowana kadra instruktorów proponowała seniorom urozmaicony program, mający na celu zapewnienie im na stare lata jak najlepszej kondycji. Nie bez znaczenia był szeroki wybór rozrywek intelektualnych.

Słowem – Eliza uwielbiała pracę ze starszankami, a oni uwielbiali ją. Oczywiście gremialnie załamywali ręce nad jej wolnym stanem i non stop swatali

ją ze swoimi wnukami, siostrzeńcami i bratankami. Dosłownie podtykano jej pod nos przeróżne kandydatury, ale ona jakoś nie była zainteresowana. Choć Leszek, wnuk jednego z najmilszych pensjonariuszy, zainteresował ją cokolwiek. A przynajmniej na tyle, by umówić się z nim na kolację. Wielkie uczucie przy tej okazji nie wybuchło, ale miło spędzili czas. Błyskawicznie odnaleźli wspólny język i zaczęli nadawać na tej samej fali. Chłopak, podobnie jak Eliza, wcale nie miał parcia na stały związek, niemniej jednak, nękanie przez rodzinę w sprawie ożenku, postanowił postawić zasłonę dymną. Eliza, zmęczona nieustannym nagabywaniem, ochoczo przyklasnęła pomysłowi. Dla zmylenia przeciwnika, czyli grupy spiskujących starszuchów, postanowili stworzyć coś na podobieństwo pary. Ustalili, że raz na tydzień Leszek będzie przyjeżdżał po nią do pracy, oczywiście z kwiatami i obowiązkowym całusem pośrodku korytarza na oczach wszystkich. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, a sprytnej dwójce nie wiedzieć kiedy zaczęło być ze sobą coraz lepiej. Po pół roku znajomości Eliza i Leszek zostali parą naprawdę. Może łączące ich uczucie nie nasuwało skojarzeń z wystrzałami fajerwerków i stadami trzepoczących motyli, ale mieściło się w definicji przyzwoitego związku dwojga uczciwych ludzi, którzy darzą się szacunkiem, podobają się sobie nawzajem i właśnie są w trakcie tworzenia solidnych podstaw, by w przyszłości zbudować coś więcej.

Eliza była wreszcie szczęśliwa. Czuła się spełniona. Prywatnie i zawodowo. W perspektywie pojawił się pomysł wspólnego zamieszkania, ale na razie idea

pozostawała w zawieszeniu. W pracy – huk roboty. Dwie koleżanki rozchorowały się na grypę, trzecia zaś właśnie była w ciąży i fatalnie się czuła, więc chwilowo o uwiciu wspólnego gniazdka nie mogło być mowy. Eliza dwoiła się i troiła, by załatwić jakieś zastępstwo za koleżanki, ale bezskutecznie. Nawet dyrekcja ośrodka nie wskórała zbyt wiele. Wszystkie agencje outsourcingowe w sezonie grypowym notowały braki w personelu, więc nie pozostawało nic innego, jak przenieść się do pokoiku na terenie pensjonatu i dbać o podopiecznych po godzinach, z doskoku.

Mimo wszystko Eliza zawsze miała dla nich czas. I niezmiernie pokłady cierpliwości, gdy pod pewnymi względami bywali gorsi i bardziej wymagający niż dzieci.

Upodobała ją sobie zwłaszcza pani Ludwika, leciwa dystygowana dama, która zwykła swą opiekunkę traktować jak wnuczkę. Ta zaś przepadała za towarzystwem uroczej starowinki i często po godzinach poświęcała jej sporo wolnego czasu. Dostojeństwo nie przeszkadzało pani Ludwice uchodzić za indywidualność wysoce oryginalną. Bogatym życiorysem mogła obdzielić tuzin osób. Była czterokrotnie zamężna. Wywodziła się z arystokratycznej rodziny, której imponujące drzewo genealogiczne (o ile starszej pani można było wierzyć) sięgało niemal średniowiecza. Ponoć Ludwika za młodu buntowała się przeciwko własnym korzeniom, a swoją miłość do koni realizowała w cyrku jako woltyżerka, oczywiście ku wielkiemu oburzeniu statecznych przodków. Podczas drugiej wojny światowej wstąpiła do AK, gdzie ktoś

pod wrażeniem jej niezwyklej urody wpadł na pomysł, by uczynić z niej szpiega. Oficer SS, któremu ją podstawiono, natychmiast połknął haczyk. Eliza mogła mieć wątpliwości odnośnie do podkoloryzowanych opowieści ekscentrycznej podopiecznej, ale musiała przyznać, że na zdjęciach z młodości Ludwika prezentowała się wręcz olśniewająco. Nowa znajomość dość szybko przerodziła się w gorącą miłość i wielką namiętność; ślub odbył się po kilku miesiącach. Niestety, po roku szczęśliwego pożycia małżonek dokonał żywota w tajemniczych okolicznościach, a młoda wdówka pogrążyła się w żałobie. No ale wojna to wojna – na rozdrapywanie ran nie było czasu – i kolejny mąż, tym razem dużo starszy, pojawił się jeszcze przed jej zakończeniem. Był wybitnym reporterem i uwielbiał awanturnicze życie. Ludwika nie pozostawała w tyle, towarzysząc mężowi, kiedy tylko się dało. Pod koniec życia żałowała, że nie spisała ich przygód. Drugiego męża również przeżyła, z trzecim się rozwiodła; to właśnie z numerem trzecim doczekała się potomka, o którym nie lubiła wspominać. Mąż nastawił syna przeciwko niej, a całkiem już duży chłopak zdecydował, że po rozwodzie nie chce mieszkać z matką. Wyjechał z ojcem za granicę na stałe i wszelki słuch o nich zaginął. Ostatni ślubny Ludwiki, wreszcie ten odpowiedni, był prawdziwym hrabią z herbem i pielęgnowanym wspomnieniem o zrujnowanym majątku za obecną wschodnią granicą, gdzie urzędował teraz lokalny kołchoz oraz koło gospodyń. Małżonkowie doczekali sędziwego wieku, wspólnie prowadząc rozliczne interesy przez ponad trzydzieści

lat. Po śmierci męża staruszka spieniężyła nieruchomości, część funduszy zainwestowała i przeniosła się na Marcowe Wzgórze. Przynajmniej tak brzmiała wersja oficjalna.

– I ty w to wszystko wierzysz? – zapytała kiedyś Iga, dosłownie na kilka dni przed śmiercią pani Ludwiki.

– A dlaczego mam nie wierzyć? Nie wygląda na sklerotyczkę, choć zdarza jej się powtarzać. Czasem się gubi w szczegółach, ale generalnie wszystko trzyma się kupy. Ech, te dziadki! – roześmiała się Eliza. – A u ciebie co? Jak praca? Ruszyło się coś?

– Szkoda gadać! Szukam i szukam. Wysyłam i rozsyłam. Rozsyłam i wysyłam. Przecież ci ludzie nie wiedzą, czego chcą! Jako wykwalifikowany menedżer w restauracji czy kawiarni nie muszę chyba mieć skończonych pięciu fakultetów, znać biegle sześciu języków, być jednocześnie intendentem, szefem kuchni, barmanem, kelnerką, szatniarką, sprzątaczką, pomywaczką, kierowcą i dostawcą? – rozżaliła się Iga.

– O rany.

– A jeszcze trafiłam na szefa, który kupuje surowce na wyprzedazach, a później mnie obciąża kosztami przeterminowanego żarcia! Jak Boga kocham, mam już tego powyżej uszu! – Iga przejechała dłonią na wysokości czoła. – O potąd!

Eliza wręcz ją ubóstwiała. Znały się jeszcze ze szkoły pielęgniarskiej. Razem rozpoczęły edukację, ale Iga dość szybko zorientowała się, że minęła się z powołaniem, i niezwłocznie przeniosła się

do technikum gastronomicznego. Pewna wiedza teoretyczna nabyta w pierwszej placówce przydawała się jej wprawdzie, ale skuteczne zarządzanie lokalem wymaga przede wszystkim praktyki i rutyny. Nawet późniejsze studia ekonomiczne nie uczyniły z niej menedżera wysokiej klasy. Doświadczenia na razie nie miała zbyt bogatego, choć przez kilka ostatnich lat ciężko tyrała na wymarzoną pozycję w branży. Obecnie była mężatką z kilkuletnim stażem, co nieco komplikowało jej zawodowe aspiracje. Praca w zupełnie innych godzinach przez większość tygodnia sprawiała, że praktycznie mijali się z Maćkiem.

Również w przypadku Igi młodzieńcze marzenia i wyidealizowana dorosłość nijak się miały do zaistniałej rzeczywistości. Dziewczyna oddawała pracę większość siebie i uwielbiała to, co robi, niestety, bez wzajemności. Po ostatniej kłótni z szefem uznała, że miarka się przebrała, i postanowiła natychmiast odejść. Natychmiast, czyli od razu, jak tylko znajdzie coś lepszego. Szczerze nienawidziła aktualnego przełożonego, ale mając na względzie chwilowo niepewną pozycję zawodową męża, postanowiła nie fikać, tylko robić swoje i spokojnie rozglądać się za okazją. W końcu byt i stabilna sytuacja finansowa były jej celami nadrzędnymi, a wobec braku planu B Iga nie mogła sobie pozwolić na fochy.

– Uwierz mi, robię, co mogę, ale w mojej branży wszyscy się znają jak łyse konie i nietrudno o wilczy bilet. Wystarczy, żeby ten złośliwy cymbał rozpuścił wici, że mnie zwolnił, bo go okradłam.

– Przecież to nieprawda – oburzyła się Eliza.

– No jasne, że nieprawda. Tyle że nie mam wpływu na to, co powie ta szemrana szuja. On doskonale wie, że w naszym małym światku wystarczy drobne pomówienie w temacie nieuczciwości i masz pozamiatane na amen.

– Nawet jak jesteś uczciwa?

– Kochana, a czy ty byś powierzyła własny interes osobie z etykietką złodzieja?

– Nno nie... – zająknęła się Eliza.

– Zatem sama widzisz. Muszę być ostrożna. Nie po to zasuwałam tyle lat i zarywałam noce, a do tego siedziałam w zadymionych salkach i jako bierny palacz traciłam zdrowie. Za dużo poświęciłam, żeby teraz przez jakiegoś pazernege kretyna stracić dobre imię.

– To niesprawiedliwe!

– Takie życie, moja droga. Ty przynajmniej masz spokój. Poużerasz się trochę z tymi twoimi dziadkami, pogadasz o pogodzie i ciśnieniu atmosferycznym. Odczytasz im wskazania barometru, żeby każdy wiedział wcześniej, kiedy ma go reumatyzm wykręcać, no i tyle. Prześpisz noc i rano apiać to samo.

– Ale ja lubię moją pracę. Tak jak ty swoją.

– No właśnie. Każda z nas ma to, czego chciała. Ze wszystkimi plusami i minusami – podsumowała Iga. – Nie wiem, jak ty, ale przede mną daleka droga. Jeszcze nikt nie zaufał mi na tyle, bym mogła rozwinąć skrzydła na całego.

– Oj, kochana, takiego frajera to chyba ze świecą szukać... – Eliza roześmiała się w głos.

– Nie frajera, tylko... Ja z tobą nie wytrzymam!

– Iga próbowała zachować powagę, ale nic z tego. Również parsknęła śmiechem.

– Matko, ale z nas para!

Sytuacja została rozładowana na dobre. Przyjaciółki jak zwykle działały na siebie jak balsam. Tyłko we własnym dwuosobowym gronie czuły się naprawdę swobodnie. Mogły sobie nawtykać bez obaw, że znienawidzą się natychmiast. Jeśli Iga kupiła fatalne buty i wyglądała w nich koszmarnie, Eliza waliła jej prawdę w oczy bez jakichkolwiek konsekwencji typu „obrażę się na śmierć i życie”. Podobnie w drugą stronę – zawsze mogła liczyć na szczerą i obiektywną opinię. Ta przyjaźń była największym skarbem.

Dlatego właśnie w dniu śmierci pani Ludwiki Eliza jak w dym pobiegła wypłakać się na ramieniu Igi. W przeciwieństwie do niej samej przyjaciółka wyglądała zabójczo. Wysokie szpilki w zestawieniu z klasyczną, ale nie za krótką ciemną mini genialnie wyeksponowały smukłe nogi, a dopasowana wizytowa bluzka podkreśliła atrakcyjny dekolt. Jasne włosy, zebrane w gładki koczek, wydobyły owal twarzy.

– Nie ma co, atrakcyjna babeczka z ciebie... – chlipnęła Eliza.

Mimo przepełniającego ją żalu nie mogła zignorować faktu, że Iga prezentuje się bez pudła.

– Weź przestań! – fuknęła tamta, choć widywała koleżankę w lepszych odsłonach.

Eliza wyglądała jak z krzyża zdjęta. Długie ciemne włosy, rozjaśnione delikatnie nieco jaśniejszymi pasemkami, zwykle schludnie upięte lub zaczesane, dziś były posklejane w nieciekawe strąki. Zwisaly

w totalnym nieładzie. Gdy zadzwonił lekarz dyżurny z hiobową wieścią, właśnie miała wejść pod prysznic, ale straciła ochotę do zajęcia się sobą – tak jak stała narzuciła na siebie kitel i pobiegła na oddział.

Pech chciał, że następnego dnia znów czekał ją samotny dyżur, a oprócz codziennych obowiązków spadły na nią sprawy związane z organizacją pochówku Ludwika. Ponury dzień przeleciał jak z bicza strzelił i dopiero wieczorem Eliza zorientowała się, że jest głodna. W aneksie kuchennym przeznaczonym dla personelu medycznego przyrzadziła sobie jajecznicę. Kiszki grały jej marsza, ale i tak miała kłopoty z przełknięciem choćby kęsa. Zmusiła się, a po kolacji jak nieżywa padła na łóżko. Miała pełną świadomość, że powinna się wykapać, lecz całkiem opadła z sił.

– Przecież od tego się nie umiera. Mądrzy ludzie żyją w brudzie – mruknęła pod nosem i ostatkiem woli zwlokła się, by przynajmniej umyć zęby.

Ponownie opadła na łóżko w dyżurce i dopiero teraz znalazła czas, by spokojnie pomyśleć, co się stało. Doskonale zdawała sobie sprawę, że pani Ludwika odeszła w spokoju, pogodzona z Bogiem i losem, ale dłużej nie potrafiła powstrzymać łez. Świadoma, że nazajutrz będzie wyglądać jak opuchnięty czerwono-oki królik angorski, próbowała opanować cisnącą się do oczu żalospną fontannę, ale bez skutku. W końcu machnęła ręką; zmęczona i splakana jak bóbr usnęła kamiennym snem.

Z pogrzebem nie poradziłaby sobie zapewne, gdyby nie pomoc dyrektora Marcowego Wzgórza. Pozostało już tylko przyszykować ciemne ubranie i przetrwać jakoś jutrzejszy dzień. Eliza nie spodziewała się wielu żałobników – cmentarz, na którym miała być pochowana jej ulubiona podopieczna, był oddalony od domu seniora o ponad trzydzieści kilometrów, zatem prawdopodobieństwo, że pojawią się tam inni pensjonariusze, było równe zeru. Zresztą w kaplicy na Marcowym Wzgórzu zamówiono mszę za duszę zmarłej.

Odziana w skromną czerń Eliza stanęła nad otwartym grobem. Jak na złość i tak nie najlepsza listopadowa pogoda tego dnia popsuła się całkowicie. Silne wietrzyśko niemiłosiernie tarło nagimi gałęziami, strącając ostatnie, poczerniałe od pierwszych przymrozków liście. Deszcz zacinał ostro. Zziębnięta dziewczyna modliła się w duchu o rychłe zakończenie ceremonii. Była zmarznięta, przewiana, zmoknięta i całkowicie zdołowana. Marzyła, by wreszcie złożyć kwiaty, zmówić pacierz, usiąść za kierownicą swojej corsy i odjechać.

Nie licząc jej samej, księdza i grabarzy, zmarłą przyszło odprowadzić w ostatnią drogę zaledwie dwóch mężczyzn o poważnych twarzach. Jeden jest niewiele starszy ode mnie, zauważyła Eliza, posyłając mu przelotne spojrzenie. Uznała, że postawny, szczelnie owinięty szalikiem mężczyzna mimo ponurego spojrzenia prezentuje się przyzwoicie i wzbudza zaufanie. Drugi nieznajomy, dla odmiany w mocno podeszłym wieku, w garniturze i długim ciemnym płaszczu wyglądał na dystyngowanego arystokratę. Całości

wizerunku dopełniał elegancki kapelusz i wytworna laseczka ze srebrną kulką zamiast łączki.

Czyżby to któryś z mężów Ludwiki?

Napotkawszy jej wzrok, starszy mężczyzna ukłonił się i uprzejmie uchylił kapelusza. Eliza odkloniła się i szybko odwróciła wzrok.

Po króciutkiej i nader skromnej uroczystości, drżąc z zimna, skierowała się na parking. Z ulgą zamknęła za sobą drzwiczki opła i od razu uruchomiła silnik. Szyby w aucie zaparowały, więc włączyła maksymalny nadmuch na przednią szybę. Zagapiła się na zanikającą mgiełkę.

– Boże! – westchnęła ciężko, odczuwając nagłą ulgę, że już po wszystkim.

Nieboszczka Ludwika spokojnie spoczęła w grobie, a Eliza mogła powoli zaczynać nowy etap w życiu. Bez pani Ludwiki. Zdawała sobie sprawę, że jej podopieczna była osobą nietuzinkową, która za życia wywarła spory wpływ na światopogląd nieco zagnębionej opiekunki. Dała jej wyrazisty przykład, jak cieszyć się życiem, jak żyć na tyle dobrze, by niczego nie żałować, a z drugiej strony – by mieć co wspominać. Eliza otarła wierzchem rękawiczki napływające do kącików oczu łzy i energicznie wyjechała z parkingu.

Droga powrotna zajęła jej niewiele czasu. A że wzięła sobie na dzisiaj wolne, od razu skierowała się do swojego lokum.

Moje zmienniczki powinny wrócić do pracy niebawem, dumiała, zbierając rzeczy do prania i przygotowując czyste ubrania na kolejne dni. Rozejrzała się dokoła – zaniedbane przez ostatnie dni mieszkanko

aż prosiło się o gruntowne porządki. Eliza uwielbiała czystość, ale tym razem doszła do wniosku, że posprząta później. Teraz przetrzała tylko szmatką meble i ogarnęła jako tako kuchnię. Wyrzuciła do śmieci dwa uschnięte doniczkowe kwiatki i przyrzekła sobie, że w przyszłym tygodniu kupi nowe; na szczęście pozostałe rośliny dużo lepiej znosiły suszę i miały się całkiem dobrze. Eliza podlała je obficie i pobiegła do pobliskiego sklepiku po coś do jedzenia, ponieważ resztki z lodówki również wylądowały w śmieciach. Zazwyczaj stołowała się na Marcowym Wzgórzu, a w dni wolne chodziła do pobliskiego bistra, ale dziś wybitnie nie miała ochoty na jedzenie poza domem. Chwilowo nie potrzebowała ludzkiego towarzystwa, całej tej wszechobecnej wrzawy, zgiełku, głosów. Nawet nie chciało jej się zadzwonić do Igi, nie wspominając o Leszku. Dobrze, że rozumie, na czym polega moja praca, nie zadaje pytań i nie robi kłopotów, wstchnęła. Leszek, jako człowiek o wysoko rozwiniętej empatii, zdawał sobie sprawę z aktualnych emocjonalnych rozterek swojej dziewczyny i ani myślał się narzucać. Zdążył już poznać ją na tyle, by wiedzieć, że z pewnymi sprawami lubiła rozprawiać się sama. Nie znosiła, gdy ktoś jej nadskakiwał, a w sytuacji gdy ktokolwiek zaczynał się nad nią litować, wręcz dostawała szału. Od litowania się nad bliźnimi była ona! Oczywiście owa litość ograniczała się wyłącznie do przywołania rozklejonego pacjenta do porządku.

Eliza miała bowiem dar motywowania ludzi do wysiłku. Całą sobą sprawiała, że jej pacjenci zaczęli dawać z siebie wszystko. Tak, jakby robili to dla

niej. Nie miała pojęcia, skąd ta umiejętność, ale najwyraźniej jej podopieczni czuli się zobowiązani odpłacać jej za wysiłek. Niejednokrotnie słyszała od starsuszków, że gdy wchodzi do pokoju w deszczowy dzień, jest tak, jakby na chwilę wychodziło słońce...

Teraz nalała gorącej wody do wanny. Niewielkie, chwilowo niedogrzone pomieszczenie błyskawicznie napełniło się parą. Nie chciała podkreślać centralnego ogrzewania, więc tylko uchyliła drzwi i energicznie machając ręcznikiem, rozgoniła kłęby białej pary. Z ulgą zrzuciła żałobny strój.

Stojąc przed lustrem w samej bieliźnie, uważnie zlustrowała swoje nogi, których długość zawsze spędzała jej sen z powiek. Co z tego, że proporcjonalne i kształtne, skoro za krótkie! Oczywiście była to subiektywna opinia Elizy, bo jakoś oprócz niej nikt nie zauważał defektu. Wystarczył niewielki obcas, odpowiednio dobrana spódnica czy sprytny fason spodni, a sylwetka nagle stawała się proporcjonalna i całkiem zgrabna. To samo dotyczyło biustu. Według właścicielki był on zbyt duży, więc sporo energii poświęciła na wykombinowanie odpowiednich staników. Gorsciarka po wysłuchaniu życzeń klientki popatrzyła na nią jak na kompletną wariatkę, ale zadanie wykonała, dobierając biustonosze optycznie zmniejszające walory, co przy szczupłutkiej talii dało w końcu zadowalający Elizę efekt. Owszem, była bardzo krytyczna wobec własnego wyglądu, ale też starała się nie wariować na tym punkcie. Była wystarczająco zapracowana, by nie doszukiwać się kolejnych mankamentów (których istnienia miała bolesną świadomość),

uznając je za mało istotne, przynajmniej na obecnym etapie życia, kiedy nie miała czasu, by porządnie zjeść i się wyspać. Leszkowi się podobam i to jest najważniejsze, pomyślała.

Wyszła wreszcie z wanny, szczerze opatulila się puszystym szlafrokiem i wysuszyła włosy. Uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Jasna cera, zwykle naturalnie zaróżowiona i zdrowa, teraz wydawała się szara i pomięta. Zielonkawe oczy jakby straciły kolor, białka błyskały nienaturalną czerwienią. W najbliższych dniach muszę znaleźć czas na regulację brwi i hennę na rzęsy, postanowiła. Ale to może poczekać, aż w pracy wygrzebię się z obowiązków i w końcu odbiorę zasłużone dni wolne.

Eliza zakropliła oczy preparatem ze świetlikiem, a w łazienkowej szafce znalazła odklejoną z jakiejś babskiej gazety saszetkę z maseczką na twarz. Nie przepadała za zabiegami upiększającymi, ale zdawała sobie sprawę, że w pewnym wieku to już, niestety, obowiązek. Starannie nałożyła kleisty specyfik, który po chwili wysechł i ściągnął skórę tak bardzo, że Eliza miała wrażenie, że popeka ona przy kolejnym otwarciu ust. Przerażona postanowiła zmyć go natychmiast, ale podejrzana substancja pod wpływem wody stała się śliska i obrzydliwa w dotyku. Paniczne zabiegi usunęły wprawdzie z twarzy paskudztwo, ale zakończyły się umazaniem włosów. No to mycie i suszenie od nowa!, pomyślała zła jak osa Eliza.

Gdy po raz kolejny wylądowała przed lustrem, ujrzała nie tylko kobietę zmęczoną, ale i wściekłą. Z natury nie cierpiała powtórnego wykonywania raz

zrobionych rzeczy. Nawet samochodem starała się nie pokonywać dwa razy dziennie tej samej trasy. Takie alternatywne dojazdy sprawiły, że znakomicie znała miasto. Miało to swoje dobre strony, gdy trzeba było omijać korki.

Eliza zawsze była logiczna i poukładana, czasem aż do przesady. Leszek często pokpiwał z tej cechy. Niestety, gdy już nabierała ochoty na szaleństwo, za nic nie dawał się namówić na żaden mało rozsądny wybryk.